

# klub

## młodych autorów „Na Przełaj”

Po raz czwarty publikujemy dziś prace młodych autorów „Na Przełaj”. Otrzymujemy wiele artykułów, krótkich opowiadań i wypowiedzi dyskusyjnych — jesteśmy więc pewni, że Klub będzie stałą pozycją naszego pisma w ciągu tego roku.

Ponieważ na listy odpisujemy tylko w wyjątkowych wypadkach — odpowiadamy tu na pytania powtarzające się najczęściej.

Przed wszystkim: „Czy mam talent? Czy mam zadatki na literata?” Autorzy liczą sobie 15—17 lat i co z nich wyrośnie — okaże się dopiero w przyszłości. Zachęcamy do pisania wszystkich, gdyż uważamy, że pisanie jest bardzo inteligentnym „hobby”, pomaga piszącemu patrzeć na świat własnymi oczyma, uczy precyzyjnego wypowiadania własnych myśli i wyrażania swoich przeżyć. Uczy także zrozumienia cudzych spraw, uczuć i poglądów.

Dlatego bardzo cieszą nas prace, które, nie mając ambicji literackich, poruszają interesujące i ważne sprawy z życia młodzieży. Sprawa następną: podpisujemy autorów pseudonimami, jeśli sobie tego życzą. Ale prosimy o podawanie nazwisk i adresów do wiadomości redakcji. Prosimy również, aby autorzy podawali wiek i klasę, jeśli chodzi o szkoły, i do jakiej — czyli krótkie „dane personalne”.

Czy przewidujemy spotkania, seminaria członków klubu? Pomyślimy o tym wtedy, gdy zbierze się szersze grono stałych autorów-korespondentów.

### Czwarta lista członków

Wydrukowaliśmy dotychczas prace 15 autorów. Dziś przybywa nam 5 nowych.

16. „Berta” (Warszawa)
17. Marek Ordylowski
18. Jan Miłaszewski
19. „Ewa”
20. „Sara”

To jakim trzeba być?

W odpowiedzi na opowiadanie w 32 nrze „Na Przełaj” przyszło do Klubu kilka wypowiedzi dyskusyjnych i opowiadań na podobny temat — o miłości. Drukujemy dwie wypowiedzi.

## największe głupstwo?

**P**amiętam dobrze ten dzień 13.6.64 r. sobota. Po wyjściu wracałam z nimi do domu. On (Leon), ja i jego przyjaciół, a zarazem mój kolega (Iwo), two widząc, że chce z Leonem porozmawiać, upłynął się. Tak. To było w sobotę. Mogła być chyba 15 godzina. Nastroi wcale nieodpowiedni do wzruszeń, wyznań, a jednak... Frontowa ściana domu, pod ścianą pojemniki na śmieci, wokół zielsko, które zakryć mogłoby sześciolatniego brzdąca, i słońce. On stał przede mną ze spuszczoną głową. Może nie chciał patrzeć mi w oczy, aby się nie rozśmiać?

Powiedziałam, że go kocham i widząc jego nieporadnie spuszczoną głowę dodałam szybko — Co o tym sądzisz, dobrze? źle? Musiałam coś powiedzieć, bo ciższa, która zaległa po moim „kocham” była nie do zniesienia.

— Żle to nie — odpowiedział szybko.

— A, dobrze? — spytałam pełna ciekawości.

— Dobrze — powtórzył — może... — nie dokończył. Wiedziałam, że próżno czekać na odpowiedź.

Odprowadziłam go pod sam dom. Wtedy po raz pierwszy i po raz ostatni podał mi rękę na pożegnanie. Więcej nie zaszczycił mnie podaniem ręki. Scisnąłam mu wtedy dłoń. Uśmiechnął się. To było wszystko.

W poniedziałek pojechaliśmy na wycieczkę statkiem. Leon i Iwo byli też. Stałi cały czas przy drugiej burcie, ani razu nie podszedli do mnie, choć jechaliśmy cały dzień. Leon nawet się nie uklonił, kiedy mnie zobaczył. To była koszmarna przyjemność! Cały czas byłam zła, ponura. On też nie był w lepszym humorze. Moja koleżanka, a jego „miłość”

(od której dostał kilka dni wcześniej „kosza”) wcale nie zwracała na niego uwagi. Do domu wróciłam w „czarnym humorze”.

Na drugi czy trzeci dzień napisałam do niego list z zapytaniem, czy dlatego chodzi zły i ponury, że ja go kocham? Po tygodniu otrzymałam odpowiedź. cytuję dostownie:

„Skąd wiesz, że ja się gniewam dlatego, że Ty mnie kochasz? Wcale się na Ciebie nie gniewam. Jesteś nadal dobrą koleżanką, do której wcale a wcale nie mam urazy. Szanuję uczucie, którym mnie darzysz, ponieważ przeżywałam to samo. Nadal mocno kocham Iwonkę i nie na to poradzić nie mogę.”

Leon”.

To było wszystko. On przeszedł do IX klasy z nagrodą, ja z poprawką. Nie poszłam na egzamin poprawkowy. Po co? Gdybym zdała, chodziłabym z nim do jednej klasy i przypomniałby mi zawsze to moje bezmyślne „kocham”, a gdybym nie zdała, to i tak bym go spotykała w szkole. Przez niego rzuciłam szkołę, a raczej przez pochopnie wyznane miłość...

Jaki człowiek jest głupi mając „naście” lat! Jakże chce nieraz dobrze, a wychodzi źle. On kochał się w mojej przyjaciółce. Dostał „kosza”. Był nieszczęśliwy, tak mi się przynajmniej wydawało. Chciałam go uszczęśliwić swoim „kocham”, a unieszczęśliwiłam siebie.

Nie żałuję tamtych łez wylanym w poduszkę przez niego. Teraz już wiem, że aby leczyć, trzeba skończyć Akademię Medyczną, a nie 7 klas „powszechniaka”.

Imiona występujące powyżej są pseudonimami, z wyjątkiem mojego.

FWA

„Mam lat 15, chodzę do L.O...”

## PISANE NA PARAPECIE

**M**iedzy liśćmi gałązka akacji. Mała Ewa piszczy, opowiadając coś koleżankom.

Chłopcy jak zwykle okupują huśtawkę. Andrzej, ten kandydat na kartografa, rozmawia z kolegami. Kilka starszych dziewcząt chichocze na ławce, posyłając w stronę chłopców uśmiechy.

Wjechał samochód. Wartburg pana K. Brudna woda z kałuży opryskała panią J., ale to nic, pani J., choć w domu przeklina Wartburga i pana K. uśmiecha się.

— Jak tam żona? — Dziękuję, dobrze.

Pan K. wchodzi na schody. Dziewczęta na ławce chichoczą jeszcze głośniej. Z okna na piątym piętrze wychyla się uśmiechnięta głowa pani Ewuni. Andrzej (kartograf) puszcza oczko do Ewu-

ni, a ona zasłania firankę posyłając mu słodkie spojrzenie.

Mała Ewa uderzyła Januszkę. Chłopczyk płacze i woła głośno: „mamo!”, ale mama jest w pracy i interweniować może tylko pani K. Krzyczy na Ewę, która pokazuje pani K. (niegrzeczna) język.

Jakaś dziewczynka w zielonej sukience huśta się na huśtawce. Ale ta wysoka (pewnie pijana — taka ordynarna) kobieta ściąga ją z deseczki, siada i mocnym rozmachem nóg odbija się. Dwaj jej towarzysze śmieją się. Kobieta schodzi z ławki i wraz z mężczyznami biegnie w kierunku X klatki. To chyba siostra pani O. — nic dobrego o nich nie mówią.

Dziewczęta już nie chichoczą.

Na niebie pojawia się mała chmurka. Niespodziewanie dla wszystkich srebrne krople spadają na ziemię.

Chłopcy i dziewczęta biegną do świetlicy. Opuszczona huśtawka kołysze się miarowo w przód — w tył, raz... dwa... raz... dwa...

Pada deszcz. Na ulicy rozkwitają parasole. Pani K. sprząta pościel na balkonie. Pada deszcz.

Siedzę w oknie. Moja szyba jest teraz mokra. Krople torują sobie drogę po jej zakurzonej tafli.

Podwórko ucichło.

Lubię patrzeć na deszcz.

BERTA

„Droga Redakcjo! Smutny to reportaż, ale zwiedzanie obozu Stutthof (obecnie Sztutowo) mocno mną wstrząsnęło...”

## Tu mordowano ludzi

**W**Sztutowie byłem już raz w 1963 r. Dużo się tu zmieniło. Obok wlotu uliczki, prowadzącej do bramy obozu, widać dużą kamienną tablicę, która ma charakter pomnika. Na niej jedno słowo: Stutthof. Obok przebiegają tory, którymi wieziono ludzi ku śmierci. Idąc uliczką przechodzę koło willi komendantów obozu, dalej już tylko drużyny kolczaste, budki wartownicze i teren właściwego obozu. Trudno opisywać rozmieszczenie poszczególnych baraków, budynków dla więźniów i dla „nadludzi”. Baraki, których tylko kilka ocalało z zawieruchy wojennej, zio-

SARA

**T**ego dnia pracowaliśmy na drugiej zmianę, od 15.00 do 23.00, pełne 8 godzin. Jak codziennie już od dwu tygodni, wolno, nie spiesząc się szliśmy zabloconą drogą do hali wyrobowni, skąd zwykle rozchodziliśmy się na przydzielone nam stanowiska. W hali panowała jeszcze cisza, jeszcze nie pracowały żadne maszyny. Dwie robotnice oczyszczały z gruzu miejsce koło pracy. Tylko „Ulan” coś krzyczał i przeklinał głośno, wymachując przy tym swoją jedyną zdrową ręką przed grupką robotnic. Kiedy weszliśmy, akurat skończył. Jedna z robotnic, jeszcze dosyć młoda, plakała tuląc twarz w dloniach. Jak się dowiedziałem później, mimo iż już przepracowała swoją zmianę, musiała zostać jeszcze na następną 8 godzin. To na nią właśnie tak wydierał się „Ulan”.

Teraz przydzielał nam stanowiska pracy. Ja zostałem przydzielony, tak jak zawsze, do obsługi kołogniotu. Praca moja nie była ciężka, chociaż odpowiedzialna i wymagająca ciągłej uwagi. Zapewne dlatego pociągała mnie i byłem z niej zadowolony. Jednakże istniało pewne ale. Ołóż prawie zawsze przychodził kierownik zmiany i wysyłał mnie do innej roboty, ale ni-

gdy do obsługi jakiegos maszyny. Na moje miejsce przysyłał zaś jakiegoś robotnika. Dzisiaj również nie byłem pewien swego dalszego losu.

Kołogniot znajdował się na samym szczycie agregatu przetwórczego, a więc na ostatnim piętrze wyrobowni. Wszystkie urządzenia znajdujące się na tym piętrze w zasadzie podlegały mojej obsłudze i były niejako sprzężone z pracą kołogniotu. Tuż po przerwie przyszedł do mnie kierownik. Poznałem od razu, że to po mnie, ponieważ przyprowadził ze sobą jakiegoś robotnika.

— Ty chłopcze pójdziesz nosić łąty z samochodu — powiedział do mnie i dodał — a tutaj zostanie ten pan.

Zszedłem za nim na dół. Przy bocznym wejściu na wyrobownię stała tyłem, z opuszczoną klapą, ciężarówka naladowana nowymi łątami. Łąty — to na przeszło metr długie i dosyć grube listwy za pomocą których transportuje się surówkę do suszarni, a następnie do pieca. Oczywiście, łąty już nie idą do pieca, wracają do ponownego obiegu. W zakładzie uruchomiono nowy agregat i właśnie przyszedł do niego transport łąt.

Łąty z ciężarówki mieliśmy nosić we trójkę, oprócz mnie Czechu i Kaziu. Jak na trzech, to roboty było nadzwyczaj dużo. Jeden musiał podawać z samochodu, a dwóch tylko mogło nosić. Ale przecież kierownik powiedział, że jak pozostaniemy, to mamy koniec. To nas zmobilizowało. Dochodziła dopiero siódma. Z zapalem zabraliśmy się do roboty. Kierownik zaś wsadził rękę do kieszeni i stał przez pewien czas przyglądając się naszej pracy, a widząc, że się dosyć spieszymy, poszedł gdzieś sobie. Ro-

bota szła nam z początku dosyć raźnie, braliśmy na ręce tyle łąt, ile zdołaliśmy tylko unieść. Tak było przez pierwsze pół godziny. Potem, już przepoceni, nieco zwolniliśmy tempo. Czuliśmy już ręce od noszenia i zaczęliśmy zabierać coraz mniej łąt. Tymczasem mijają druga godzina naszej pracy, a z ciężarówki ubyto dopiero dwie trzecie całego transportu. Godzina dziewiąta już dawno minęła, a myśmy ciągle nosili. Zaczęliśmy już rozmyślać nad panującymi w tym zakładzie porządkami. Co to jest za robota — myślałem — przyjechalibyśmy tutaj czegoś się nauczyć, a nie po to, żeby nas wyszyskiwano do pracy fizycznej mającej niewiele wspólnego z naszym przyszłym zawodem. Sam słyszałem panującą w zakładzie opinię: „Są praktykanci, można ich wykorzystywać, im nie nie placą”. Tak, z pewnością ta opinia sprawdza się wobec nas codziennie. Oł, na przykład dzisiaj, przepoceni, przemęczeni, z rękoma opadającymi już od nadmiaru ciężkiej pracy, właśnie kończymy wyładowywanie łąt.

Patrząc na zegarek — dochodził wpół do jedenastej. Kierownik przyszedł sprawdzić naszą robotę.

— W porządku, możecie już iść — powiedział i zaraz zwrócił się do mnie — a ty przyjdiesz jutro na pierwszą zmianę, na siódmą.

— Ależ, panie kierowniku, ja nie wstanę. Za bardzo jestem zmęczony.

— To powiedz stróżowi, żeby cię zbudził.

Wracaliśmy we trójkę do hotelu robotniczego, w którym byliśmy zakwaterowani. Mimo stosunkowo wczesnej jeszcze pory wszystkie światła w oknach paru budynków tego niewielkiego osiedla były już pogaszone. Tylko od strony zakładu świeciły światła. Fabryka hucała swym normalnym życiem.

JAN MILASZEWSKI

na smutkiem i pustką. Znajdują się w nich przyce, na których spali więźniowie: 3-4 na jednym łóżku... W jednej izbie o wymiarach mniej więcej 5 x 10 m „mieszkało” 150-200 osób. Wstrząsającym dowodem tragedii sprzed przeszło 20 lat są napisy wyryte na drewnianych bokach łóżek. Czytam nazwiska, imiona, daty — przy wielu nazwiskach „zginął za Polskę”. Barak posiadał umywalnię, małą izbę, w której znajdowało się 5 umywalk. Tablica lakonicznie informuje że w ciągu 12 minut musiało się tu umyć 800 kobiet. Przy jednej ścianie umywalni jest koryto — też służyło do mycia — i w tym korycie — wg relacji przewodnika (b. więźnia obozu w Sztutowie) kapo Kozłowski dusił więźniów w gorącej wodzie. Później wyrokiem sądu powieszono go w Gdańsku w 1946 r. Nawet laboratorium służyło do mordowania ludzi... zastrzykami i „doświadczeniami dla wiedzy”.

Ze ściśniętym sercem skierowałem się do krematorium, którego wysoki komin góruje nad obozem. Obok szary niepozorny budynek — komora ga-

zowa. Wewnątrz w mrocznej salce stoją puste puszkę — Cyklon B. Tym strasznym środkiem uśmiercano tysiące ludzi. W krematorium na środku sali znajdują się 3 piece krematoryjne. Tu spalono 65 tysięcy ludzi. Zdaje mi się, że czuję jeszcze gryzący zapach dymu. A może mi się nie zdaje? Ze zwieszoną głową idę naprzód — w dalszych salach krematorium oglądam gabloty z ubiorami więźniów, ich listy, fotografie. Szczególnie wstrząsający jest list 16-letniej dziewczynki do ojca. Pełen smutku, rezygnacji, tęsknoty... a przecież stała już u progu śmierci. „...Chciałabym tylko umrzeć — pisała — albo wrócić do Ciebie, Tatku...”

Kończąc zwiedzanie i robiąc zdjęcie wychodzę za bramę na uliczkę prowadzącą do autobusu. Zielono na świecie i cicho, tylko drobne krople deszczu spadają na ziemię.

Postanawiam w mojej szkole zrobić fotogazetkę obrazującą drogę meczeństwa Polaków w obozach koncentracyjnych.

MAREK ORDYŁOWSKI